

Dziś naszym partnerem i sponsorem odcinka jest catering dietetyczny Diety Odbrokuła. Testuję go od kilku tygodni. Każdego dnia pod moimi drzwiami czeka na mnie paczka z pięcioma pełnowartościowymi posiłkami. Wybrałem dla siebie dietę sport, choć żaden ze mnie sportowiec to ten zestaw pasuje mi idealnie i zapewnia składniki, których potrzebuję. Dużo białka, mięsa i warzyw. Dzięki temu w ciągu dnia nie jestem głodny i świetnie się czuję. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy jak wiele czasu poświęcam na robienie zakupów i przygotowywanie jedzenia. Teraz wystarczy tylko wyjąć gotowy zestaw z pudełka, czasami podgrzać i cieszyć się smacznym i zdrowym posiłkiem, a jedzenie jest naprawdę dobre. Jeżeli ktoś z was myślał kiedyś o zamówieniu cateringu to szczerze mogę polecić tę firmę. Tym bardziej, że dla nowych klientów na hasło Marcin 10, 10% zniżki. Na stronie internetowej diety od brokuła, którą podaję w opisie tego materiału, znajdziecie wszelkie szczegóły. Jest mnóstwo diet do wyboru o różnej kaloryczności. Z brokułem można poprawić sylwetkę, w zależności od preferencji, zrzucić kilka kilo lub wręcz przeciwnie, przybrać na masie. Jeżeli będą wątpliwości dotyczące diety, można też bezpłatnie skonsultować się z dietetykiem, który przez telefon lub mailowo doradzi, jaki zestaw będzie dla nas najlepszy i najzdrowszy. Poważne przestępstwa dokonywane przez kobiety zawsze szokują nas bardziej. A w tym wypadku mamy do czynienia z babcią, będącą ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o coś takiego. Bo nie mówimy to o zbrodni w afekcie czy zemście. Ta kobieta była seryjną sprawczynią. Siwe włosy, pomarszczona skóra na twarzy, ogromne okulary i babcinę ubrania. To był świetny kamuflaż. Dzięki temu przez lata jej przeszłość, skrywająca wiele tajemnic im roku, nie ujrzała światła dziennego. Jednak gdy prawda wyszła już najaw, okrzyknięto ją gospodynią z domu śmierci. To kolejna mocna historia, którą poznacie już za chwilę w podkaście Kryminatorium. Nowe odcinki mojego kryminalnego programu publikuję w każdy poniedziałek. Z samego rana na Spotify i o 17 na YouTube. Kryminatorium. Otwieramy akta tajemnic. Rankiem 28 kwietnia 1982 roku dzieci Ruth Munrow otrzymały wstrząsającą wiadomość. Ich matka zmarła. Jednak to nie był koniec złych informacji. Znajoma kobiety twierdziła, że 61-letnia mieszkanka Sacramento odebrała sobie życie. Z nową córką nie mogli w to uwierzyć. W jednej chwili zawalił się ich cały świat. 61-lotka kroczyła przez życie z szerokim uśmiechem na twarzy. Nigdy nie pomyśleli, że mogłaby pewnego dnia tak po prostu odebrać sobie życie. Zwłaszcza, że jako katoliczka postrzegała taką śmierć jako ciężki grzech. Jednak w ostatnich dniach kobieta przeszła diametralną zmianę. Przestała przypominać dawną siebie. Przez lata pracowała w aptece. Ciężko zarobione pieniądze odkładała na tak zwaną czarną godzinę.

Od jakiegoś czasu żyła w nieformalnym związku.
W kwiecie wieku poznała mężczyznę swoich marzeń.
Byli razem szczęśliwi. Spędzali ze sobą każdą wolną chwilę.
On często kupował jej kwiaty czy zapraszał do restauracji.
Ród miała wszystko, czego potrzebowała. Miłość życia, zdrowie i ukochane dzieci, na które zawsze mogła liczyć.
Pewnego dnia poznała kobietę, z którą połączyła ją wielka przyjaźń.
Po raz pierwszy spotkały się w restauracji, do której 61 latka przychodziła ze swoim partnerem.
Jej nowa znajoma tam pracowała.
Stały się dla siebie powierniczkami. Zwieżały z każdej nawet najmniejszej troski.
Pewnego dnia koleżanka zaproponowała założenie biznesu.
Ona miała pomysł, a Ród środki na jego zrealizowanie.
Munrod zgodziła się. Myślała, że to świetny pomysł.
Pieniądze, które gromadziła przez lata przeznaczyła na otwarcie własnego lokalu z jedzeniem.
Ich wizja zakładała, że wspólny biznes okaże się sukcesem.
Nie spodziewały się problemów.
Jednak one nadeszły i to bardzo szybko.
Przyjaciółka co jakiś czas powtarzała, że muszą zainwestować i jeszcze większą sumę pieniędzy, a ona posłusznie podpisywała czeki lub dawała jej gotówkę do ręki.
Ale problemy w dalszym ciągu nie znikwały.
Przeciwnie. Z dnia na dzień było gorzej, co psychicznie podłamało 61 latkę.
Straciła większość swoich oszczędności.
Wkrótce okazało się, że restaurację trzeba zamknąć.
To nie był koniec złych informacji.
W tym samym czasie jej życiowy partner dowiedział się, że jest ciężko chory.
Wykryto u niego nowotwór.
Lekarze widzieli niewielkie szanse na wyzdrowienie.
Ród była załamana, ale nie chciała się poddawać.
Miała zamiar wspierać ukochanego.
Próbowała wierzyć, że wszystko dobrze się potoczy.
Przyjaciółka zaoferowała pomoc, a konkretnie możliwość zamieszkania z nią w jej dużej posiadłości.
Jej dzieci uznały, że to dobry pomysł.
Lubiły koleżankę swojej matki.
Uważały ją za przemiłą, starszą panią, która rozstaczała parasol ochronny nad potrzebującymi pomocy.
Nazwali ją babcią, bo sama chciałaby tak na nią mówiono.
Mimo to martwili się o mamę. Często dzwonili.
Odwiedzali praktycznie codziennie.
Jakiś czas po przeprowadzce nastąpiło nieoczekiwane pogorszenie stanu emocjonalnego 61-latkim, widoczne szczególnie na kilka dni przed śmiercią.
Zazwyczaj uśmiechnięta i emanująca dobrą energią kobieta, nagle przestała przypominać dawną siebie.
Stała się małomówna, zamknięta w sobie i płacziwa.
W dodatku syn zauważył coś szczególnie niepokojącego.

Piła alkohol i to w dość sporych ilościach.
Twierdziło, że drinki ją rozluźniają i poprawiają samopoczucie.
Przyjaciuka nie widziała w tym problemu.
Sama podawała jej do ręki szklankę z wysokoprocentową zawartością.
Mieszczynę zmartwił fakt, że matka zapijała swój smutek.
Poza tym było to dziwne samo w sobie, ponieważ wcześniej stroniło od alkoholu.
Powtarzało, że to trucizna.
Jej dzieci zaczęło się zastanawiać, dlaczego nagle stał się dla niej środkiem na odreagowanie.
Na dzień przed jej śmiercią syn zastał ją leżącą w łóżku.
Nie odezwała się do niego ani słowem.
Pomyślał, że to po prostu tylko gorszy moment.
Zastanawiał się jednak nad tym, jak wyciągnąć ją z tego dołka.
Obiecał, że przyjdzie kolejnego dnia.
Niestety nie zdążył.
28 kwietnia 1982 roku kobieta już nie żyła.
Jej ciało znalazła przyjaciółka.
To ona powiadomiła odpowiednie służby.
Później twierdziła, że ród popełniła samobójstwo.
Że w ostatnich dniach życia była w ciężkim stanie psychicznym.
Nie mogła pogodzić się z chorobą partnera.
Fakt, że musiały zamknąć swoją restaurację, tylko pogorszył całą sytuację.
Przeprowadzono sekcję zwłok, żeby ustalić prawdziwą przyczynę śmierci.
Według raportu z autopsji matka nie miała żadnych obrażeń zewnętrznych czy ran.
Natomiast ciekawych informacji dostarczyły badania toksykologiczne.
W jej organizmie odnotowano wysokie stężenie różnych substancji.
M.in. kodeiny i paracetamolu.
Taka ich ilość zdecydowanie świadczyła o celowym przedawkowaniu.
Mogła sama zażyć te substancje lub ktoś mógł podać je bez jej wiedzy.
Ale nie było możliwości rozstrzygnięcia tej kwestii.
Dzieci kobiety obstawały przy tej drugiej opcji.
Uważały, że na pewno nie sięgnęłyby po kodeinę,
czyli silny lek opioidowy o działaniu przeciwbulowym.
Nie z własnej woli.
Nawet będąc w ciężkim stanie psychicznym.
A żaden lekarz w ostatnim czasie jej tego nie przepisał.
Myśleli, że dziwne zachowanie ród oraz nagła śmierć
wynikały z ingerencji osób trzecich, a konkretnie jednej osoby.
Tej, która podsuwała jej do ręki drinki.
Uważali, że w szklance oprócz alkoholu
kryły się substancje, które doprowadziły do tragedii.
Ich zaufanie do przyjaciółki matki zniknęło.
Z przerażeniem odkryli, że kobieta zagarnęła
wszystkie kosztowności należące do zmarłej.
61-latka nie sporządziła testamentu,

ale podobno ust nie przekazała, że po jej śmierci
wszystko przypadnie znajomej.
Oni jednak nigdy tego nie usłyszeli.
Nie mogli uwierzyć, że nie pozostawiłaby niczego swoim dzieciom.
Everson Gilman również przez większość życia
patrzył z optymizmem w przyszłość.
Był ponad 70-letnim wdowcem.
Jego żona zmarła przed kilkoma laty.
Mieszkał sam i najzwyczajniej w świecie
brakowało mu towarzystwa.
Kogoś z kim mógłby porozmawiać,
z kim mógłby zasypiać i budzić się w jednym łóżku.
Marzył by jeszcze raz się zakochać i wziąć ślub.
Nie chciał przeżyć starości w pojedynkę.
Mieszkał w przyczepie kempingowej.
Lubił tworzyć rzeźby z drewna czy obrabiać zwierzęcą skórę.
Ale żadna z tych czynności nie wypełniła pustki w jego sercu.
Dlatego zaczął korespondować z kobietami
odsiadującymi wyroki w więzieniach.
Wierzył, że każdy zasługuje na drugą szansę,
nawet przestępcy.
Szczególna więź połączyła go z pewną osadzoną z Kalifornii.
Starszą Panią, która w przeszłości popełniła kilka błędów.
Kradła.
Ale nie chciała już wrócić na kryminalną ścieżkę,
tylko zacząć wszystko od nowa.
W swoich listach zapewniała go, że pragnie dokładnie tego co on.
Spokoju na stare lata lub przy boku ukochanej osoby.
To ukochaną osobą miał być właśnie Everson.
Mężczyzna oznajmił swoje rodzinie, że weźmie ślub z tą kobietą.
Bliscy uznali, że pewnie żartuje.
Nie sądzili, że naprawdę poślubił z Kazaną,
której nawet nie widział na oczy.
W wrześniu 1985 roku mężczyzna udał się do Sacramento w Kalifornii.
Tam mieszkała jego ukochana.
To była spora rezydencja, która liczyła aż 16 pokoi.
Wprowadził się do niej.
Rodzinie obiecał, że będzie się do nich odzywać co jakiś czas.
Jednak słowa nie dotrzymał.
Zaniepokojona siostra Emeryta powiadomiła policję.
Znała adres, pod którym zamieszkał.
Funkcjonariusze wybrali się na miejsce i zastali tam Eversona.
Całego i zdrowego.
Nic mu się nie stało, po prostu nie miał ochoty rozmawiać z bliskimi.

Później skontaktował się z nimi.

Był zdenerwowany, że jego zdaniem chcieli go kontrolować.

Siostra postanowiła spełnić jego prośbę i przez jakiś czas nie dzwoniła ani nie pisała.

Po jakimś czasie otrzymał list od narzeczonej brata.

Kilka dni później pojawił się kolejny.

Była osadzona zapewniała, że z mężczyzną wszystko w porządku.

W dalszym ciągu nie miał ochoty rozmawiać z rodziną.

Natomiast dobrze czuł się w nowym domu.

Zbliżał się dzień ich ślubu.

Jednak drugiego listopada 1985 roku, czyli krótko przed wyznaczoną datą, siostra otrzymała wiadomość telegraficzną.

Tym razem od 77 latka.

Napisał, że nie będzie żadnego małżeństwa.

Chciał odejść od narzeczonej.

Nie podał konkretnego powodu rozwstania.

Na końcu dodał, że chce pojechać na południe kraju.

Po tej wiadomości nastąpiła długa cisza.

Emeryt nie dawał znaku życia.

Rodzina martwiła się.

Jednak nie mieli pojęcia, gdzie wtedy przebywał.

Zatem nie mogli się z nim skontaktować.

Nagle w kwietniu 1986 roku dostali pocztówkę.

Nadawczynią była niejaka Irene, nowa dziewczyna seniora.

Streści wiadomości wynikało, że poznali się w trakcie wycieczki i zostali parą.

Mieszkali razem.

Od czasu do czasu podróżowali i chodzili do kościoła w każdą niedzielę.

Kobieta poinformowała rodzinę mężczyzny, że trzy miesiące wcześniej przeszedł on niewielki udar.

Na szczęście nie odcisnęło to wielkiego piętna na jego zdrowiu.

Tak przynajmniej przekonywała partnerka.

Siostra nie wiedziała, co o tym sądzić.

Nie do końca uwierzyła w te słowa.

Udar to jednak nie przelewki.

Martwiła się o brata, ale nie wiedziała, co powinna zrobić.

Everson był w końcu dorosły.

Mógł użyć tak, jak chciał.

A ona musiała zaakceptować jego decyzję, nawet jeśli jej się nie podobały.

Trochę dziwiło ją, że przez tyle miesięcy ani razu nie zadzwonił.

Zamiast tego wysyłał pocztówkę za pośrednictwem swojej partnerki.

Podobnie jak w przypadku wcześniejszej kobiety, siostra odniosła wrażenie, że cała ta korespondencja była do siebie podobna.

Zupełnie jakby napisała ją jedna i ta sama osoba.

Ale z poprzednią narzeczoną przecież się rozstał.

W latach osiemdziesiątych w Sacramento seniorom przytrafiały się dziwne rzeczy.

O czym świadczą nie tylko przypadki Ruth i Everson.

W drugiej połowie tamtej dekady doszło do kolejnych tajemniczych zaginięć.
Nie wszystkie z nich zostały zgłoszone na policję.
Te osoby nie zawsze miały kontakt z rodziną.
Bywało, że nikt nie martwił się ich nieobecnością.
Zaczął się od 78-letniej Betty Palmer.
Była schorowaną i samotną starszą panią.
Zmagała się także z różnymi problemami psychicznymi.
Często skarżyło się na bulbiodra.
Zaledwie rok wcześniej odniosła dość poważną kontuzję.
Od tego czasu praktycznie codziennie zażywała leki przeciwbulowe.
Ostatni raz widziano ją 19 sierpnia 1986 roku.
Tego dnia wybrała się na wizytę do lekarza.
Ale nigdy z niej nie wróciła.
Tak twierdzili lokatorzy mieszkające w tej samej posiadłości.
Niewiele o kobiecie wiadomo.
Czy miała jakichś bliskich?
Kogoś, kto przejął się jej zniknięciem i być może je zgłosił?
Można się jedynie domyśleć, że nie.
Jednak już po jej zaginięciu w ośrodku opieki społecznej
odbierano przeznaczone dla niej środki.
Podpis z jej imieniem i nazwiskiem
znalazł się również na kilku nowych wnioskach o zapomogi.
Ale żaden z urzędników nie wiedział,
że Betty nie mieszkała pod znanym im adresem.
Nikogo o tym fakcie nie poinformowała.
Z problemami zdrowotnymi zmagala się również
78-letnia Lyona Carpenter.
Od wielu lat była uzależniona od alkoholu.
Nastawę przejmowała szereg różnych lekarstw na dolegliwości,
które często spotykają osoby w jej wieku.
Po niektóre medykamenty sięgała bez wiedzy lekarza.
Stały się one kolejnym źródłem jej uzależnienia.
W 1986 roku często trafiała do szpitala.
Przyczyną tych przyjęć było prawdopodobnie
przedawkowanie różnych tabletek.
Ale od lutego 1987 roku przestało się tam pojawiać.
Słuch o niej zaginął.
Jednak w tym czasie ktoś dalej pobierał jej pieniądze.
Podobnie jak w przypadku Betty.
Od alkoholu nie stronił również James Gallop.
Miał 62 lata i guzamazgu,
choć zdaniem lekarzy nieoperacyjnego mimo wszystko niezłośliwego.
A to oznaczało, że przed mężczyzną stała perspektywa długiej
i spokojnej starości, gdyby tylko przestał pić.

Jakiś czas później pojawiło się ryzyko,
że jego nowotwór mógł być jednak złośliwy.
On kolok chciał przeprowadzić szereg badań pod tym kątem.
Ale w wyznaczonym dniu pacjent nie zjawił się na umówionej wizycie.
Lekarz próbował skontaktować się z gospodynią domową,
w którym mieszkał skorowany mężczyzna.
Okazało się wówczas, że ten niespodziewanie wyjechał.
Kobieta nie miała pojęcia, gdzie.
Powiedziała, że zniknął nagle w środku nocy.
Informacja o jego zniknięciu dotarła do opieki społecznej.
Pracownicy jednak nie podejrzewaliby stało mu się coś złego.
Znali go niezbyt ciekawą przeszłość.
Uwierzyli, że naprawdę mógł opuścić dom
i zaszyć się gdzieś indziej.
W swojej pracy na co dzień spotykali się z takimi przypadkami.
Ze smutkiem akceptowali, że nie każdy chciał przyjąć od nich pomoc.
Później pojawiła się plotka wśród sąsiadów,
że James zmarł w wyniku choroby.
Według tej pogłoski nie miał rodziny,
więc kwestia pogrzebu spoczęła na gospodyni domowej.
A ta postanowiła, że jego zwłoki zostaną skremowane.
Jednak nigdzie takiej informacji nie zgłosiła.
Vera Faye Martin zniknęła jesienią 1987 roku.
Nie wiadomo kiedy dokładnie.
Jej dzieci od dawna z nią nie mieszkaly.
Czasem tylko rozmawiała z nimi przez telefon.
Choć zmagala się z poważnymi problemami,
takimi jak chociażby alkoholizm,
to pamiętała o ich urodzinach.
I zawsze dzwoniła z życzeniami.
Ale przez cały październik i listopad
nie odezwało się do nich ani razu.
Nie wiemy, czy w tym czasie sami próbowali się z nią skontaktować.
Ani czy zgłosili jej zaginięcie na policję.
Lecz gdyby zapytali lokatorów Wery co u kobiety,
oni nie potrafili by odpowiedzieć na to pytanie.
W końcu dawno jej nie widzieli
i nie mieli pojęcia gdzie mogłaby przebywać.
Gdyby wykazali większe zainteresowanie własną matką,
może wtedy bardziej by się zaniepokoił.
Kolejną zaginioną osobą była Doroty Miller.
65-letnia alkoholiczka.
W przeszłości cierpiała na depresję.
Miała za sobą kilka prób samobójczych.

Nie ufała praktycznie nikomu.
Osoby, które ją poznały, określały ją mianem paranoiczki.
W październiku 1987 roku zachorowała.
Znalazła się potopieką ginekologa.
Jednak nie zjawiała się na jednej z wizyt.
Kobieta, u której mieszkała,
powiedziała, że Doroty i trafiła na odwyk.
Pomimo upływającego czasu
wsiaż jednak nie wracała do swojego domu.
Dopiero później okazało się, że tak naprawdę
nigdy tam nie trafiła.
Ben też dużo pił.
Dodatkowo w wyniku wypadku sprzed lat
był częściowo niepełnosprawny ruchowo.
Poruszał się przy pomocy laski.
Czy jakiś czas wizyty składał mu brat,
który martwił się o niego.
Ostatni raz widzieli się w kwietniu 1988 roku.
Później Ben wyjechał do innego miasta.
Tak przynajmniej twierdziła kobieta,
u której mieszkał.
Wojcicielka domu nie chciała już przebywać z nim pod jednym dachem.
Skarżyła się, że ciągle pił i wprowadzał swoim zachowaniem zamęt.
Nie stosował się do wyznaczanych przez nią zasad.
Miała dość i dlatego kazała mu się wynieść.
Alvaro Montoya znany był wszystkim jako Bert.
Pochodził z Kostaryki.
Do USA przyjechał z rodziną jako nastolatek.
Już od wczesnego dzieciństwa
jego rodzice byli świadomi,
że ich syn odróżnia się od swoich rówieśników.
Stwierdzono u niego niepełnosprawność intelektualną.
W dodatku psychiatrzy wykryli u nastolatka schizofrenię.
Bert miał 16 lat,
kiedy postawiono te diagnoze.
Z bieżem czasu jego stan zdrowia się pogarszał.
Halucenacje, paranoja, brak zaufania do ludzi.
Minęło jednak całe lata, zanim rodzina podjęła w końcu decyzję,
że trzeba mu jakoś pomóc.
Umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym.
W trakcie kilkutygodniowego pobytu
poddany został terapii elektrostrząsowej.
Nie przyniosła ona oczekiwanych rezultatów.
Bert skarżył się na jej bolesność

i upokorzenie temu towarzyszące.
Po wypisaniu ze szpitala
postanowił wyprowadzić się z domu rodzinnego.
Był już dorosłym mężczyzną.
Miał ponad 30 lat.
Bał się, że jeśli zostanie
matka znowu wyśle go na leczenie.
Zanic w świecie nie chciał doświadczyć
kolejnych elektrostrząsów.
W latach 70. i 80.
mieszkał w różnych ośrodkach w Kalifornii.
Głównie w noclegowniach dla bezdomnych.
W końcu schronienie znalazło w placówce dla osób
uzależnionych od alkoholu.
Choć sam nie miał problemu z pijem,
to czuł się tam dobrze.
Niczym w domu.
W 1988 roku na jego drodze
pojawiła się pracownica socjalna,
która chciała mu pomóc.
Choć Bertowi odpowiadało
mieszkanie wśród uzależnionych,
nie mógł żyć w ten sposób.
Często chodził brudny,
nie zawsze pamiętałby wziąć leki,
a bez nich objawy choroby się nasilały.
Potrzebował prawdziwego domu,
a także kogoś, kto mógłby
się nim zaopiekować.
Nie chciał wrócić do rodziny,
więc pracownica socjalna
zaczęła szukać mu innego lokum.
W końcu trafiła na idealne
dla niego miejsce.
Było to coś w rodzaju domu opieki.
Duża posiadłość
prowadzona przez starszą i bogatą kobietę.
Okoje oferowało osobom
w potrzebie, schorowanym,
bezdomnym, samotnym czy starszym.
Gotowała dla nich prała,
pilnowała czy biorą leki itd.
Pracownicy socjalni
często kierowali do niej potrzebujących.

Wcześniej do jej domu
trafiła Betty, później Leona,
James i Vera.
Następnie przyszła kolej
na Dorothy i Bena.
I tak rozpoczął się nowy rozdział
w życiu Berta.
52-letnie wówczas mężczyzna
w końcu miał swój własny pokój
i czyste ubrania.
Zeznań pracownicy socjalnej wynika,
że przyjmował również regularnie
leki, co w jego przypadku
było czymś zupełnie nowym.
Od kiedy tylko zaczął je brać,
wcześniej w ogóle o to nie dbał.
Nawet, że wcale mu nie pomagały,
dlatego często pomijał dawki,
co skutkowało znacznym pogorszeniem.
Po wielu latach pojawiła się widoczna poprawa.
W nowym domu
właścicielka powierzyła mu też pewne obowiązki
do wykonania.
Czasami musiał coś naprawić lub komuś pomóc.
Oczywiście na miarę jego możliwości.
Chodziło o to, żeby czymś
konstruktywnym wypełnić mu
sporo ilość wolnego czasu.
No i żeby czuł się potrzebny.
To wpłynęło pozytywnie na jego samopoczucie.
Jednak kilka tygodni później
mężczyzna zjawił się w centrum odwykowym.
Chciał ponownie w nim zamieszkać.
Pracownica socjalna zaczęła dociekać,
dlaczego nagle zmienił zdanie.
Przecież w nowym domu czuł się świetnie,
ale teraz było widać,
że targały nim pewne obawy.
Z trudem wydusiła z niego
konkretne informacje.
Z uwagi na jego chorobę
i ograniczenie umysłowe.
Unikowanie swoich potrzeb i trosk
sprawiało mu wiele problemów.

W końcu okazało się, że
chodziło o leki.
Właścicielka przytułku bacznie pilnowała
tego, by jej podopieczni
przyjmowali wszystkie przepisane tabletki.
A jemu z czasem to zaczęło
przeszkadzać. Nie chciał ich brać.
Więc stwierdził, że nie chce
również tam mieszkać. Mimo to
pracownica socjalna miała
wrażenie, że mogło chodzić o coś
jeszcze. Tyle, że Bert
więcej nie powiedział.
Ostatecznie wrócił do tamtego domu.
W sierpniu opieka społeczna
postanowiła sprawdzić telefonicznie
co u niego. Wtedy okazało się,
że Bert wyjechał
na jakiś czas do Meksyku.
Według słów
właścicielki, w tym kraju mieszkała
jej rodzina, która się nim
zaopiekowała. Chciała
mężczyźnie sprawić krótkie wakacje,
będące dla niego oderwaniem od szarej
rzeczywistości, tyle, że
Bert nie poinformował o tym pracownicy
socjalnej. Gdyby
nie zadzwoniła, nie miałyby pojęcia
o tym, gdzie przebywał jej podopieczny.
52-latek miał niebawem wrócić.
Urzędniczka dzwoniła co jakiś czas.
Za każdym razem słyszała, że
Bert wciąż przebywał za granicą.
Podobno jego pobyt
przedłużył się z inicjatywy gospodarzy.
Tak minął sierpień
i wrzesień 1988
roku. Niepokój kobiety wzrastał.
Poprosiła o kontakt
do mieszkających w Meksyku krewnych
właścicielki. Chciała porozmawiać
zarówno z nimi, jak i z Bertem.
Zamierzała upewnić się,

że wszystko było u niego w porządku.
Pomimo obietnic
nie dostała żadnego numeru, telefonu
czy adresu. Jakiś czas później
do opieki społecznej,
zadzwoił niejaki Michael Obergon.
Przedstawił się jako szwadier
52-latka. Jednocześnie
zapewnił, że odebrał go z Meksyku
i zawiózł do Sacramento.
Jednak po rozmowie z
właścicielką postanowił zabrać go
na jakiś czas do swojego domu WIUT-a.
Pracownica socjalna
znowu poprosiła o przekazanie słuchawki
jej podopiecznemu. Niestety
nie doczekała się tego.
Szwadier ciągle znajdował jakieś
nowe wymówki. W trakcie jednej z takich
rozmów pomylił swoje
nazwisko. Jednak natychmiast
zdał sobie sprawę z tej wpadki.
Podrazu poprawił się, używając
nazwiska Obergon.
Kobiecie, która odebrała telefon,
to wydawało się nie tylko dziwne, ale i
podejrzane. Zaczęła się wtedy
zastanawiać, czy można
się aż tak pomylić, żeby
przedstawić się zupełnie innym
nazwiskiem. Czas bardziej się martwiła.
Miała przeczucie, że
52-latka spotkało
coś złego, zwłaszcza, że
od innego lokatora usłyszała
niepokojące doniesienia.
O tym, że mieszkańcy domu
zaobserwowali wiele dziwnych
sytuacji. Na przykład to, że
krótco po tajemniczym wyjeździe Berta
z domu zniknęły wszystkie jego
rzeczy. Zupełnie jakby miał
już nigdy nie wrócić.
Jeden z lokatorów opowiedział

o tym pracownicy opieki społecznej.
Martwiło go również, że
właścicielka domu dużo czasu
spędzała w ogrodzie z tyłu domu.
Często wynajmowała kogoś do
kopania dołów, m.in.
z kazańców. Nie chciałyby
inni tam zaglądali. Tak
jakby coś w tym ogrodzie ukrywała.
Pracownica socjalna była
zaniepokojona tymi doniesieniami.
Dlatego w październiku
1988
roku zgłosiła zaginięcie
Berta.
Policja przyjęła
zgłoszenie. Jeszcze tego samego
dnia jeden z funkcjonariuszy
pojechał do tego domu.
Na miejscu okazało się, że
jego właścicielką była Dorofia
Puente. Nikt nie wiedział ile
dokładnie lat miała ta kobieta.
Ale podejrzewano, że jest po 70.
Wyglądała jak staruszka
miała kręcone siwe włosy,
pomarszczoną skórę i ogromne
okulary na nosie. Ubierała się
jak typowa starsza pani, którą stać
na drogie żakiety, sukienki
i biżuterię. Nalegałyby
praktycznie każdy nazywał ją babcią.
Swoją działalność
założyła na przełomie 1985
i 1986 roku.
Okoliczni mieszkańcy dobrze ją znali.
Większości uważali ją za kobietę
o złotym sercu, która poświęcała
się dla innych. Dodatkowo
okazywało szczególne wsparcie
dla społeczności meksykańskiej.
Zresztą sama twierdziła, że jest
latynowską. Wspierała
zbiórki pieniędzy i zachęcała innych

do tego. Współpracowała również z organizacjami kościelnymi. Przybyły pod jej adres policjant porozmawiał z nią. Kobieta zeznała, że mężczyzna kilka tygodni spędził u jej bliskich w Meksyku. Stamtąd odebrał go jego szwadier. Następnie razem przyjechali na chwilę do jej domu. Nie chciałyby podopieczne wyjeżdżał do innego stanu. Ale członek jego rodziny przekonał ją, że to dobry pomysł. Taką wersję potwierdzili wszyscy lokatorzy. Mimo to zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Jeden z nich pokryjomu dał policjantowi zawiniętą karteczkę. Widniało na niej zaledwie kilka słów. Ona kazała mi kłamać. Stróż prawa zrozumiał, że świadek miał na myśli drogie. Dlatego postanowił porozmawiać z nim na neutralnym gruncie. Nie chciał robić tego w miejscu, w którym ona mogłaby ich podsłuchiwać. Na szczęście dyskretnie udało mu się wyprowadzić świadka w bezpieczne miejsce. Gdy obaj znaleźli się już w znacznej odległości od posiadłości mężczyzna w końcu odważył się wyznać, o czym wcześniej częściowo wspomniał już pracownicy socjalnej. Głównie o tych dziwnych dołach w ogrodzie. Powiedział również, że po zniknięciu jednego z lokatorów w domu pojawił się pewien odór. Skojarzył mu się z zapachem śmierci. 16 października 1988 roku policja nie zjawiała się w tym domu. Tym razem policjantów było już znacznie

więcej. Mieli przy sobie łopaty.
Zapytali właścicielki, czy
ma ona coś przeciwko, aby sprawdzili jej
ogród. Nie zaprotestowała.
Przestrzeń
za domem była niewielka,
ale na pierwszy rzut oka dość
mocno przez kogoś przekopana.
Śledczy początkowo znaleźli tam
wyłącznie śmieci. Kopali jednak
dalej. Po chwili jeden z nich
wyciągnął z ziemi rzeczy, które
wyglądały jak zniszczone części
garderoby. Kilka minut
później policjant ze zdumieniem
i przerażeniem spojrzał na
odkopane ludzkie kości.
File później odnaleziono pełny
szkielet należący do kobiety.
Dorofia i pozostali mieszkańcy
zostali zabrani na komisariat.
Poddano ich bardziej szczegółowym
przesłuchaniom niż dotychczas.
Później wszystkich wypuszczono.
Płęte uparcie powtarzała,
że nie wie, w jaki sposób kości
znalazły się w ziemi na terenie
jej posiadłości.
Twierdziła przy tym, że nie miało z tym
nic wspólnego. Zasugerowała nawet,
że być może poprzedni właściciel
nieruchomości ukrył je tam jeszcze
zanim ona się tam przeprowadziła.
Nie było żadnych dowodów, które
świadczyłyby o winie kobiety.
Teoretycznie mogło być przecież tak
jak mówiła. Następnego dnia
zabezpieczono ogród
i kontynuowano przeszukiwanie.
Policjenci natknęli się na kolejne
ludzkie szczątki. Potem następne
i kolejne.
Wykopano fragmenty ciał należące
do siedmiu różnych osób.

Niektóre były lepiej zachowane, co świadczyło, że do zgonu mogło dojść w przeciągu ostatnich tygodni lub miesięcy. Inne zaś stanowiły już same szkielety. W międzyczasie Dorofia zniknęła. Śledczy pozwoli jej na chwilę wyjść z domu. Miała spotkać się z kimś z rodzin w kawiarni. Pewnie można się zastanawiać nad tym, dlaczego tak się stało. Ale należy pamiętać, że policjanci tak naprawdę nie mieli żadnych fizycznych dowodów, które by ją pogrążyły. Nie była aresztowana czy nawet oficjalnie podejrzana. Nie mogli jej zatem zakazać opuszczenia posiadłości. Mimo to, kiedy sprawdzono miejsce, w którym miała przebywać, nie było jej tam. Rozpoczęto poszukiwanie. Natrafienie na kolejne z włoki i nagłe zniknięcie właścicielki posiadłości zmieniły wszystko. Stała się podejrzaną. Uciekła, bo prawdopodobnie po raz pierwszy odczuła strach. Że wszystko, co udało jej się zbudować równie jak domek z kart. Pojawiła się w każdej z przywołanych wcześniej historii. Przez lata nosiła różne nazwiska. Grey, McFall, Johnson, Montalvo. Jednak zapamiętano ją głównie jako Dorofie Puente. Zaprzyjaźniła się z ród. Uwiodła Eversona. W końcu założyła dom opieki. To tam trafili Bert i pozostali seniorze, którzy później zniknęli w tajemniczych okolicznościach. Jednak to tylko pewne wycinki z jej życiorysu. Dorofia miała znacznie więcej za uszami.

A to zupełnie nie pasowało
do wrażenia, które wywierała na ludziach.
W szczególności na tych nowopoznanych.
Choć chciałaby nazywano ją
babcią, to nie była aż taką
staruszką, za jaką się podawała.
Urodziła się w 29.
roku, czyli w latach 80.
była po 50.
Często kobiety odejmują sobie lat.
W jej przypadku było wręcz przeciwnie.
Farbowała włosy na siwo
i stylizowała się tak, by
wyglądać jak staruszka.
Pochodziła z Kalifornii.
Choć ona sama twierdziła, że miała aż
siedemnaścioro rodzeństwa.
Było to kłamstwem. Jednym z wielu
w jej życiu. W rzeczywistości
przyszło na świat o szóste z siedmiorga
Czuła potrzeby, by ubarwiać swoje życie
nawet w tak prozaicznych
kwestiach jak liczba rodzeństwa.
Dlaczego tak było?
Nad tym pytaniem później dość długo się zastanawialiśmy.
Kluczowe okazało się poznanie jej
burzliwej przeszłości.
Przeszłości, w której było wiele
kłamstw i półprawd.
Jej ojciec walczył na froncie
podczas pierwszej wojny światowej.
Po powrocie do domu
nie był już tym samym człowiekiem.
Zachorował na gruźlicę, depresję
i zespół stresu pourazowego.
Swoim dzieciom powtarzał, że
świat jest okrutny i niesprawiedliwy.
Że nie warto po nim stąpać.
Groził nawet, że weźmie
broń i się zastrzeli na ich oczach.
W domu rzadko kiedy można było
usłyszeć śmiech czy zabawę.
Matka miała wybuchowy charakter.
Często kłóciła się z mężem.

Wetykała mu błędy.
Jednocześnie oddalało się od swoich dzieci.
Nie poświęcała zbyt wiele czasu
na ich wychowanie.
Kazała tym starszym opiekować się młodszymi.
W tym czasie sama sięgała
po alkohol.
Drofia od najmłodszych lat pragnęłaby
ktoś zwrócił na nią uwagę.
Dlatego często symulowała różne choroby.
Miała 8 lat, gdy jej
ojciec zmarł na gruźlicę.
Niecały rok później, w wypadku
motocyklowym, straciła matkę.
Wraz z rodzeństwem
trafiła wtedy do sierocinca.
Potem przygarnęli ich dalszy krewni.
Choć byli dziećmi, ich dzieciństwu
się skończyło.
O ile w ogóle kiedyś istniało.
W nowym domu nikt o nich nie dbał.
Opiekunowie wykorzystywali dzieciaki
do wykonywania różnych prac domowych.
W wieku 16 lat
dorofia znalazła pracę jako kelnerka.
Przedstawiała się innym jako
sherry. W tym czasie zaczęła sobie
również dorabiać w znacznie mniej
chwalebny sposób. Świadczyła
usługi seksualne.
Tak poznała kilka lat starszego
grza. Najpierw on został jej klientem.
Później ona jego żoną.
Zamieszkali w niewielkiej
miejscowości w Nawadzie.
Urodziła dwoje dzieci, z czego jedno
było owoce miejsc drady.
Ale nie potrafiła być dla nich dobrą
matką. Dlatego oddało je
do adopcji. W 48
roku małżeństwo dobiegło
końca. Po rozwodzie
wróciła nie tylko do swojej rodzinnej
Kalifornii, ale i do prostytutki.

Wkroczyła na przestępczą ścieżkę
pełną parą.
Zaczęła
kraść książeczki czekowe.
Jednak dość szybko wpadła podczas
próby dokonania płatności za zakupy.
Aresztowano ją i jakiś
czas później skazano.
Otrzymała wyrok roku pozbawienia
wolności. Z czego odsiedziała
tylko 4 miesiące.
Na początku lat 50
ponownie wyszła zameż.
Drugie małżeństwo przetrwało 14
lat. Ale też nie należało
do szczególnie udanych.
Drofia zaszła kilka razy w ciążę,
ale żadnej z nich nie donosiła.
Nowy małżonek nie był
zadowolony z tego, czym zajmuje się
jego żona. Lecz jej to nie obchodziło.
Wkrótce kobieta
poszerzyła swoją działalność.
Została tak zwaną burdel mamą.
Nakłaniała inne kobiety
do oferowania usług seksualnych.
Z uwagi na to,
że prostytutka była i jest
w większości stanów nielegalna, miała
z tego powodu dość sporo problemów.
Policja uważnie jej się przeglądała.
Pewnego razu funkcjonariusze
przeprowadzili nalot na dom
publiczny, który prowadziła.
Znowu ją aresztowano.
W więzieniu spędziła tym razem 3 miesiące.
Swoje życie
opierała na kłamstwach.
Często wymyślała sobie nowe tożsamości.
Podawała fałszywe nazwiska i życiorysy.
Niczym Kameleon.
Zmieniała nawet swoją wiarę.
Jednym mówiła, że jest muzułmanką.
Innym, że goroliwą katoliczką.

Zmyślała także choroby
by wzbudzić współczucie
i wyciągnąć od innych pieniądze.
Udawała, że miała raka.
Potrafiła kłamać jak mało kto.
Wiedziała jak przedstawić swoją historię,
by brzmiała wiarygodnie.
Przez lata radziła sobie z tym świetnie.
Kiedy w 1966 roku
rozwiodła się z drugim mężem
szybko znalazła trzeciego.
Myślała, że jeśli po ślubi
znacznie młdszego od siebie mężczyznę
wyjdzie to jej na dobre.
Nie chciała nikogo, kto będzie ją kontrolować
i narzucać swój styl życia.
Wydawało jej się, że znalazła
odpowiedniego kandydata.
I była święcie przekonana, że
lepiej trafić nie mogła.
No cóż, pomyliła się.
Pan Puente, którego nazwisko
później owiała złą sławą
po czterech latach powiedział dość.
Dziesięć lat później
znowu stanęła na ślubnym kobiercu.
Ale i ten związek nie przetrwał.
Choć zwykle mówi się, że
do trzech razy sztuka
ta kobieta liczyła na to,
że w jej przypadku będzie to do czterech.
Była w błędzie.
Nauczona przykrym doświadczeniem
przysięgła sobie wtedy, że piątego
razu już nie będzie.
I słowa dotrzymała. Już więcej
nie wzięła z nikim ślubu.
Postanowiła skupić się na czymś
zupełnie innym.
Pozalo nie tylko z kolejnego małżeństwa,
ale i z prostytutką
oraz stręczycielstwa.
Na początku lat osiemdziesiątych
zamieszkała w Sacramento.

W liczącej szesnaście pokoi posiadłości
wybudowanej w stylu wiktoriańskim.
Mimo to nie mogła całkowicie
ukryć swojej prawdziwej natury.
W 1982
roku popełniła
kolejne przestępstwo.
Ofiarą padł 74
latek, którego poznała w barze.
Człowska kobieta, wyglądająca
mniej więcej w jego wieku, od razu
wpadła mu w oko. Najpierw wypili
razem kilka drinków.
Później zaprosił ją do siebie.
Będąc już we własnym domu
mężczyzna nagle zaczął
tracić kontakt z rzeczywistością.
Gdy położył się na łóżku,
drofia przystąpiła do akcji.
Wyniosła z jego mieszkania pieniądze
i biżuterię. Zdjęła mu
nawet z palca pierścioneł.
On nie miał siły by się bronić
i zaprotestować.
Następnego dnia poszkodowany
zgłosił się na policję, a złodziejkę
złapano. Okazało się, że
drink został doprawiony substancją
odłuzającą.
Kobieta zrobiła to szybko i sprawnie,
kiedy nikt nie patrzył. Policja
odkryła, że podobnie postąpiła także
w przypadku kilku seniorek.
Udając pielęgniarkę zdobyła
zaufanie i dostało się do ich domów.
Miała biały fartuch, czepek na głowie
i torbę z medycznym ekwipunkiem.
Podała im leki, po których
straciły przytomność. Wszystko po to,
żeby je okraść.
Kolejny raz trafiła zakratki.
Tym razem na nieco dłużej. W trakcie tej
odsiadki nawiązała znajomość
z Eversonem.

Później wyszła na przedterminowe zwolnienie. Wróciła do swojego domu w Sacramento. I wtedy zrealizowała plan, który wymyśliła dawno temu.

Posiadłość była duża. Zdecydowanie zbyt duża, aby mieszkać w niej samotnie. Założyła więc coś w rodzaju placówki dla potrzebujących osób.

Twierdziło, że jest bogatą, starszą panią bez męża i dzieci, która chciała posłużyć się w jakiś sposób społeczeństwu. Skłamała przy tym, że ma wykształcenie pielęgniarstwa i odpowiednie kompetencje do opieki nad osobami starszymi i schorowanymi.

Aby móc prowadzić takie miejsce, powinno uzyskać specjalne pozwolenie.

Jednak Dorofia nawet się o to nie postarała.

Zdawała sobie sprawę, że urzędnicy dokładnie prześwietliliby jej przeszłość.

Jako skazana, przebywająca na warunkowym zwolnieniu, nie miała prawa do prowadzenia placówki o takim przeznaczeniu. Co jakiś czas odwiedzał ją kurator.

Dopytywał, z kim mieszkała.

Nie sposób było nie zauważyć, że w jednym domu przebywało tak wielu lokatorów.

Ale ona wiedziała, jak podejść urzędników, jak skutecznie musiało uspić ich czujność.

Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób tłumaczyła obecność innych.

Możemy być jednak pewnie, że użyła w tym celu swojego talentu do kłamania.

Musiała być bardzo wiarygodna, ponieważ aż przez 3 lata była gospodynią nielegalnego domu opieki.

Sąsiadom i opiece społecznej

z łatwością wmówiła, że
ma stosowne pozwolenie.
To może wydawać się dziwne, ale
nikt tego nie zweryfikował.
Uważano, że starsza i szanowana kobieta
w głosie średniej nie miała powodów
do oszustw. Poza tym
na pierwszy rzut oka jej działalność
nie budziła żadnych podejrzeń.
Nikt nie zdawał sobie wtedy sprawę,
że pocziwa staruszka
nie robiła tego z dobroci serca, jak sama
wszystkim wmawiała.
Pod jej opieką znaleźli się ludzie
niezbyt zamożni, którzy z uwagi
na swój status społeczno-ekonomiczny
mogli ubiegać się o różne formy
pomocy społecznej. Często dostawali
za pomocę od państwa.
Nie były to może zbyt wielkie sumy,
ale zapelniając wszystkie wolne
pokoje w domu jej zysk
wzrastał. Po pewnym czasie
zgromadzona przez nią kwota stała się
naprawdę imponująca.
Za pomogi socjalne, czy emerytury
przebywających u niej lokatorów
trafiały bezpośrednio do jej cieszeni.
Wydziała, co prawda swoim
podopiecznym niewielkie sumy na ich drobne
wydatki, ale zdecydowana większość
otrzymywanych kwot
pozostawała w jej portfelu.
Wydziła, że pokrywało to koszty ich utrzymania.
W niektórych przypadkach
środki trafiały bezpośrednio w ręce
lokatorów, ale ona i tak potrafiła
znaleźć sposób, aby je przechwycić.
Jednak nie każdy dał się
zwieść tej staruszce. Niektórzy
wyczuwali, że coś było z nią nie tak.
Jedna z mieszkank
domu poskarżyła się o piece społecznej.
W liście napisała, że opiekunka

kradła jej pieniądze.
Wspominała również o próbach otrucia.
Nikt jednak nie uwierzył
w tę historię.
Nawet kurato.
Kobieta była uzależniona
od narkotyków i miała kryminalną
przeszłość. Jakiś czas później
aresztowano ją nawet pod
zarzutem zabójstwa. Opowiadała
wtedy, że w tym domu źle się działo.
Lokatorzy podobno
znikali w tajemniczych okolicznościach,
ale stróże prawa nie traktowali jej
jako osoby wiarygodnej,
więc to zignorowano.
Dopiero zgłoszenie zagłębienia jednego z
lokatorów oraz podejrzenia
przekazane policji przez godną
zaufania pracownicy opieki społecznej
sprawiły, że całą sprawą
zainteresowały się odpowiednie
służby.
Po odnalezieniu kości w ogrodzie
właścicielka domu nagle zniknęła.
Policjanci szukali jej na terenie
całego stanu. Ujęli ją
kilka dni później w motelu
zalec w związku z podejrzeniem
udziału w kilku morderstwach.
W międzyczasie antropolog i lekarz
sądowy ustalili, że do zgonów
doszło na przestrzeni ostatnich
dwóch lat, czyli w czasie,
gdy mieszkała tam do Rofia.
Przesłuchanie świadków
wykazało, że to ona zlecała
wykopanie dołów w ogrodzie.
Takie zadanie powierzyła m.in.
przestępcom wykonującym pracę
społeczne. Dostrzegali oni
nawet wystające z ziemi w innych
miejscach kawałki materiału.
Coś, co przypominało dywan.

Prawdopodobnie zawinięto w niego jedną z ofiar. Wyczuli też nieprzyjemny zapach przypominający odur rozkładu. Powiedzieli o tym do Rofii. Ale ona odwróciła kota ogonem. Znalazła jakąś wymówkę, które była na tyle przekonująca, że mężczyźni szybko zapomnieli o tym, co widzieli i czuli. Uwierzyli tej mile wyglądającej starszej pani, że dawna zakopuje w ogrodzie martwe zwierzęta. Policja dotarła wkrótce do mężczyzny, który udawał szwagra Berta. Zeznał, że do Rofii poprosiła go, by zadzwonił do opieki społecznej i opowiedział historię, która ona sama wymyśliła. Nie był w żadnym stopniu spokrewniony z zaginionym. Nie wiedział nic na temat jego aktualnego miejsca pobytu. To wszystko skłaniało do sformułowania wobec niej zarzutów. Później gotowy był pełen raport ze wszystkich przeprowadzonych autopsji. Szczątki należały do trzech mężczyzn i czterech kobiet. Na początku zidentyfikowano tylko pięć osób. Berta, Bena, Jamesa, Dorothy i Vera. Dwa kobiece ciała przez jakiś czas pozostały bez tożsamości. Szczątki jednej z nich znaleziono niekompletne. Brakowało głowy czy dłoni. A te części są przecież najważniejsze dla identyfikacji. Do dziś nie udało nam się ustalić gdzie sprawca je ukrył. W końcu śledczy dowiedzieli się kim były te kobiety.

Udało się to odkryć dzięki zeznaniom lokatorów. Również mieszkały tam przez pewien czas i nagle przepadły. Nigdy już nie wróciły. Funkcjonariusze przeczuwali, że to właśnie one zostały pogrzebane w ogrodzie. Dalsze badanie ostatecznie potwierdziły te przypuszczenia. W organizmach całej siódemki odnaleziono duże stężenie leków przepisywanych starszym osobom. Były to różne substancje. Jednak według badań toksykologicznych u każdego odnotowano obecność flura zepamu, czyli silnego środka psychotropowego stosowanego w leczeniu bezsędności. Sprawczyni podtrówała ich tymletiem przez jakiś czas, co ostatecznie doprowadziło do śmierci. Każdą z tych osób coś łączyło. Zmagaly się z podobnymi problemami. Byli to ludzie schorowani, uzależnieni i nierzadko samotni. Niektórzy mogli liczyć na niewielkie wsparcie rodzina, ale część z nich nie miała nikogo. Ale najważniejszym wspólnym mianownikiem okazało się ich miejsce zamieszkania. Choć nie wszyscy mieli okazję się poznać, to żyli pod tym samym adresem w ostatnich miesiącach przed zniknięciami. Gdy media obieğa wiadomość o ogrodzie pełnym kości, policjan z innego komisariatu skontaktował się z funkcjonariuszami Sacramento. Opowiedział o niezidentyfikowanym mężczyźnie, którego rybacy znaleźli martwego na początku 1986 roku. Ciało najpierw włożono do plastikowego worka, a następnie do drewnianej

skrzyni.

Poszucono je na odludziu w pobliżu rzeki. Tamtejsza policja uważała, że sprawy mogły być w jakiś sposób powiązane.

W chwili ich znalezienia z Włoki były już w zaawansowanym stopniu rozkładu.

Znalazł na nich śladów przemocy żadnych obrażeń wewnętrznych czy zewnętrznych.

Początkowo nie udało się określić przyczyny śmierci, ani tożsamości ofiary. Nie przeprowadzono również badań toksykologicznych.

Zmarły stał się John M.

Doeł, ponieważ w ten sposób nazywa się w Stanach Wszystkich Martwych Niezidentyfikowanych Mężczyzn.

Wiadomo było jedynie, że był to ktoś starszy, prawdopodobnie

70. Jednak

dwa lata później pojawiła się nadzieja na rozwiązanie zagadki. Udało się odkryć, że ofiara z drewnianej skrzyni to Everson.

Jego ostatnim znanym miejscem zamieszkania był dom Dorofii.

Ten wątek został zrelacjonowany przez śledczego w produkcji Netflixa pod tytułem Koszmarny Lokator.

Pierwszy odcinek jest w całości poświęcony historii Dorofii i dokonanych przez nią zbrodni.

Dowiadujemy się tam również, że policja dotarła do kluczowego świadka. Pewien mężczyzna potwierdził, że pod koniec 85.

roku nie tylko wykonał na zlecenie tej kobiety drewnianą skrzynię, ale także pomógł przetransportować ją na drzekę.

Za swoją usługę otrzymał zarówno pieniądze jak i samochód ofiary.

W końcu połączono wszystkie kropki.
Rodzina Ruth już w
82. roku podejrzewała do Dorofii.
Udała się wówczas do prokuratury
i chciałyby ktoś bliżej przyjrzał
się tej sprawie. Wtedy jednak
nikt nie chciał ich słuchać.
Nie zainteresowano się tym wątkiem.
Bliscy zaglinionej byli rozczarowani.
Nie pocieszyło ich nawet to,
że przestępczyni trafiło do więzienia
za zupełnie inne przestępstwo.
Dopiero 6 lat później
pojawilo się kolejna szansa na wyjaśnienie
tej zagadkowej śmierci.
Zwłaszcza, że raport z sekcji
z Włok Ruth wyraźnie wskazywał
na obecność w jej organizmie
tych samych leków, które wykryto
u pozostałych ofiar z ogródka.
I w ten sposób początkowo 7
zarzutów zabójstw
ostatecznie zmieniono na 9.
Wszystkie te zbrodnie
zostały popełnione w latach 82-88.
Zabójczyni znała swoje ofiary.
Każdej z nich odebrała życie
w podobny sposób.
Wykorzystała w tym celu metodę, którą
posługiwała się już wcześniej,
po podaniu silnych leków obezwładniających
okradała osoby, które jej zaufały.
Tyle, że pewnego dnia
postanowiła pójść o krok dalej.
Rozłożyła ten proces
w czasie i dodała do niego nowy
makabryczny element
odebranie komuś życie.
Groziła jej kara śmierci.
Nigdy nie przyznała się do winy.
Choć nie potrafiła racjonalnie
wytłumaczyć, dlaczego szczątki znalazły się
w ogrodzie, ale uparcie
twierdziła, że nie miała z tym nic wspólnego.

W trakcie śledztwa wyszło również na jaw,
że po zagnięciu każdej z ofiar
jeszcze przez jakiś czas
pobierała ich pieniądze, które przechodziły
z opieki społecznej.
W jej prywatnych rzeczach znalazł
dowód osobisty jednej zabitych kobiet.
Wykorzystywało go, a zdjęcie
ofiary wymieniła na własne.
Ona same nie miała żadnego majątku.
Wszystko, co miała, pochodziło od osób,
które skrzywdziła. Kiedy niektórzy zaczęli
upominać się o swoje lub ją
irytowali, pozbywała się ich.
W ten sposób
pozyskała ponad 70 tysięcy
dolarów, a osoby, które
straciły życie, najczęściej znajdowały
się na marginesie społeczeństwa.
Byli chorzy całkowicie bezbrodni.
Mało kto się nimi interesował.
Przez lata uchodziło jej to na
sucho. Myślała, że
popelnia zbrodnie doskonałe.
Gdyby nie interwencja
opieki społecznej w sprawie Berta,
prawda być może nigdy nie
ujrzałyby światła dziennego.
Ewentualnie stałoby się to znacznie później,
a zwłok w ogrodzie
poczciwej staruszki byłoby więcej.
Na tle wszystkich jej ofiar szczególnie
wyróżniały się dwie osoby.
Ruth i Everson. Ona miała kochającą
rodzinę. On czuł się
samotny i szukał miłości.
Posiadali pewne oszczędności, na które
do Rofia się skusiła. Jednak
w końcu zaczęli jej zawadzać.
Dlatego zginęli.
Jej proces ruszył dopiero w lutym
roku 3 roku. Przeprowadzenie
sekcji zwłok, odkrycie tożsamości
ofiar, przesłuchanie świadków

i poskładanie wszystkich elementów
tej maki brycznej historii
zajęło organom ścigania dużo
czasu. Dowody ją obciążały,
ale nie było pewności,
czy zostanie uznana winną wszystkich
zarzutów. Wydawało się,
że najmocniejsze argumenty dotyczą trzech
spraw. Ruth, Eversona
i Berta. Były one najlepiej
udokumentowane. Jednak
te przysięgli ocenili to inaczej.
Doszli do wniosku, że można
zarzucić jej tylko morderstwa
Bena, Leony oraz Dorothy.
Sąd postanowił nie skazywać jej
na karę śmierci. Zamiast
tego wymierzył jej dożywocie
bez możliwości przedterminowego
zwolnienia. Choć od niektórych
zarzutów ją uniewinniono,
to prokuratura i policjanci
uznali, że i tak zapadł
słuszny wyrok. Surowy, a jednocześnie
sprawiedliwy.
Znaczał, że morderczyni już nigdy
nie wyjdzie na wolność. I nie wyszła.
Zmarła w 2011
roku, kiedy faktycznie była już
staruszką, którą wcześniej tylko udawała.
W chwili śmierci
miała 82 lata.
Tak jak to często dzieje się
w przypadku starych zabójców,
Dorothy otrzymała medialny pseudonim.
Nazywano ją
gospodynią domu śmierci.
A posiadłość, w której doszło do tych
mordów przez lata stanowiła
atrakcję turystyczną.
Odwiedzali ją ludzie z całego świata.
Jakiś czas temu dom kupił pewien
amerykański fan
coraz popularniejszego na całym

świecie gatunku True Crime.

Przyznał od później w jednym z wywiadów,

że to właśnie mroczna historia

tego miejsca sprawiła, że

postanowił tam zamieszkać.

Wydana w Nowym Jorku w 1990

roku przez wydawnictwo

Night's Bridge.

Książka Wiljama Piłuda pod tytułem

The Bone Garden.

Wydana w Nowym Jorku w 1994

roku przez wydawnictwo

Pocket Books.

Postanowienie o odrzuceniu petycji

Dorothy Puente.

Puente Contra Mitchell.

Wydane 10 marca 2006

Serial dokumentalny koszmar

lokator z 2022

odcinek pierwszy pod tytułem

Move Me Babciu.

Dostępny na platformie Netflix.